

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 42

Katowice, dnia 26-go października

1930

Na Niedzielę dwudziestą po Świątkach

Lekcja.

Efez. V. 15—21.

Bracia! Patrzcież jakobyście ostrożnie chodzili; nie jako niemądrzy, ale jako mądrzy, czas odkupując, iż dni złe są. A przetoż nie bądźcie nierostropnymi, ale rozumiejącymi, która jest wola Boża. A nie upijacie się winem, w którym jest nieczystość, ale bądźcie napelnieni Duchem świętym, rozmawiając sobie w psalmach i w pieśniach i w śpiewach duchownych, śpiewając i grając w sercach waszych Panu; dziękując zawsze za wszystko w imię Pana naszego, Jezusa Chrystusa Bogu i Ojcu, będąc poddanymi jedni drugim w bojaźni Chrystusowej.

Ewangelja.

Jan IV. 46—53.

Onego czasu: Był niejaki królik, którego syn chorował w Kafarnaum. Ten gdy usłyszał, iż Jezus przyszedł z żydowskiej ziemi do Galilei poszedł do niego, i prosił go aby zstąpił, a uzdrowił syna jego; bo poczynął umierać. Rzekł tedy do niego Jezus: Jeśli znaków i cudów nie ujrzyście, nie wierzycie. Rzekł do niego królik: Panie, zstąp pierwej, niż umrze syn mój. Rzekł mu Jezus: Idź, syn twój żyw jest. Uwierzył człowiek mowie, którą mu powiedział Jezus, i szedł. A gdy on już zstępował, zabieżeli mu śludzy, i oznajmili mówiąc, iż syn jego żyje. Pytał się tedy od nich godziny, której mu się polepszyło. I rzekli mu: Iż wczoraj siódmej godziny opuściła go gorączka. Poznał tedy ojciec, iż ona godzina była, której mu rzekł Jezus: Syn twój żyje! I uwierzył sam, i wszystek dom jego.

Żywot św. Ewarysta, papieża

26 października.

Święty papież Ewaryst był żydem, a Betleem jego rodzinnym miastem. W Grecji, gdzie wtedy nauki kwitły, pobierał wykształcenie i za łaską Bożą poznał naukę Chrystusa. Stamtąd przeniósł się do Rzymu, gdzie już istniała liczna parafja chrześcijańska, zostająca pod sterem biskupa i papieża Anakleta. Lubo otoczona bałwochwalcami, w prostocie ducha wiernie wyznawała wiarę Chrystusową. Tutaj dla gruntownych swych wiadomości i rozlicznych cnót i zalet przyjęto

Ewarysta do stanu duchownego i wyświęcono na kapłana, a skoro Anaklet umarł śmiercią męczeńską, mianowano go jego następcą. Wielkie miał przed sobą zadanie i trudnem było jego stanowisko. Ciągłe wystawionym był na niebezpieczeństwo życia ze strony pogan, którzy zionęli nienawiścią przeciw chrześcijanom, i wiedli żywot zdrożny i rozpustny. Będąc przeznaczonym od Boga do głoszenia bałwochwalcom nauki Zbawiciela, musiał prócz tego walczyć przeciw kacerzom, z którymi się już św. Jan ewangelista piśmiennie ucierał. Ci kacerze zaprzeczali bóstwa Chrystusowi, a mimo to, że świętą Jego naukę sromotnie specili, ważyli się nazywać chrześcijanami. Aby się przeto od tych odszczepieńców odróżnić, nazwał Ewaryst siebie i swych parafjan katolikami, jak i teraz mianują się zwolennicy Kościoła rzymsko-katolickiego. Liczba chrześcijan w Rzymie była w porównaniu z poganami jeszcze szczupłą, ale mimo to nie było części miasta, w którejby spora ich ilość nie mieszkała. Podzielił przeto miasto na siedm parafjalnych okręgów i przeznaczył dla każdego z nich kapłana, zobowiązując go do odbywania nabożeństwa i udzielania Sakramentów św. Każdemu z biskupów dodał po siedmiu dyakonów, którzy mieli im być pomocnymi w prawieniu kazań i pieczy nad ubogimi. Sam zaś przyświecał dobrym przykładem i dowodził swem życiem, że rzeczywiście zasługiwał na miano Ewarysta, t. j. najlepszego z ludzi. Ponieważ silnie tego przestrzegał, ażeby chrześcijanie zachowywali czystość i nie kazili małżeństwa nieprawem i związkami, zakazał surowo tajnych stosunków z niewiastami i ogłosił, że śluby mają być zawierane w kościele i pobłogosławione przez księdza. Katolicy słuchali jego nakazu i wiedli żywot tak przykładny, że św. Ignacy z Antyochii stawiał ich za przykład innym gminom chrześcijańskim.

Tylko dziewięć lat rządził święty Ewaryst Kościołem Chrystusowem i poniósł śmierć męczeńską, tak jak jego poprzednik, w roku 112. Zwłoki jego są złożone w Rzymie i spoczywają tuż obok ciała świętego Piotra, księcia apostołów.

Święty Ewaryst należy do tych pierwszych następców Piotra, którzy pod względem zarządu i organizacji gminy chrześcijańskiej w Rzymie wielkie i niespożyte położyli zasługi. Trudnem zaiste i wielce kłopotliwem było jego zadanie ustrzedz tę, jak na noczatek nieliczną parastkę wy-

znawców Chrystusowych od zgorszenia, zepsucia i moralnej zarazy, jaką szerzyli podówczas poganie, a jednak spełnił je tak świetnie, że święty Ignacy musiał mu poświadczyć, iż jest prawdziwym wzorem pasterza, dbającego o dobro swej trzody.

Nie sądź z pozoru

W r. 1840 przybyło do miasta Cap, położonego w południowej Afryce, kilku podróżnych, a między nimi jakiś ksiądz angielski, mały, szczupły, nie wyglądający wcale na bohatera. Miejscowi, których gromadka stała na ulicy, przypatrywali się ciekawie podróżnym.

— Oto nowy misjonarz — rzecze jeden, wskazując na księdza — udaje się do kraju Bechuans.

Co, ten karzelek? odparł drugi. Afryka potrzebuje dzielnych misjonarzy!... Tu trzeba walczyć ze słoniem, z dzikami i dzikszyimi jeszcze ludźmi; gdzież to biedactwo wytrwa tutaj?...

Kapłan-misjonarz usłyszał te słowa i łagodnie spojrzał na mówiącego.

— Nie zawsze w wątlęm ciełe wątlę duch mieszka, rzekł.

Nazywający go karzelkiem, roześmiał się na cały głos. Ksiądz, nie zważając na śmiechy, udał się do zajezdnego domu, by po uciążliwej drodze wypocząć. Nazajutrz puścił się w podróż do kraju Bechuans, w którym dotąd noga Europejczyka nie postąpiła. Trudną była podróż, jednakże po wielu wysiłkach dotarł do celu, do wsi Kuruam, leżącej w tym kraju i w niej czas jakiś postanowił pozostać, by wśród ludu rzucić pierwsze ziarno wiary i nauki. Pierwszej zaraz nocy po przybyciu zbudziły go przeraźliwe krzyki i jęki bolesne, zerwał się z pościeli zapytał wchodzącego sługi, co to znaczy.

— Zwykła to rzecz tutaj — odparł zapytany — Stado lwów prawie co noc nawiedzają Kuruam i porywają ludzi. I dziś zapewne gospodarują we wsi.

— I nic nie czynicie, by zapobiedz temu? zapytał misjonarz.

Cóż my na to poradzimy?

— Urządzić oblawę.

— Na lwy!?... ze zdumieniem odparł Afrykanin — lew, to nie dowcip, to zwyczajny zwierz, to istota niezwykczona... Któż odważyłby się zmierzyć z nim.

— Ja się odważę — energicznie odparł misjonarz.

Afrykanin niedowierzająco spojrzał nań, uśmiechnął się złośliwie i pomyślał sobie:

— Ty mały i słaby człowiecze, ty chciałbyś stanąć do walki ze lwem?... Przenigdy...

Następny dzień jednak przekonał go o odwadze małego misjonarza. Misjonarz bowiem wiawszy kilku zuchów i uzbroiwszy się w strzelbę i nóż, poszedł poszukiwać kryjówki lwów; nie zapomniał zabrać ze sobą i służącego. Po krótkiej podróży dotarli do dzikich kniei. Mały i szczupły człowiek kroczył śmiało na przedzie oddziału. Naraz usłyszeli przeraźliwy ryk lwów i ujrzeli jednego z nich wśród zarośli. Misjonarz dał ognia. Zwierz ryknął, zatoczył i powalił się na ziemię. W tej chwili zjawia się drugi zwierz rozpierzony i w straszliwym pędzie łamiąc drzewo, wbiegł wprost na śmiałka, który śmiał zabić jego towarzysza. Już miał ogromną łapą dosięgnąć

misjonarza, lecz ten z zimną krwią dał powtórnie ognia. Celny strzał powalił i tego na ziemię.

Okrzyk tryumfu wyrwał się z piersi uczestniczących. Afrykanie schylili czoło przed odważnym Europejczykiem i uwierzyli, że w wątlęm ciełe silna i odważna dusza mieszkać może. Po kilku miesięcznym pobycie misjonarz z pomocą strzelców miejscowych uwolnił wioskę od lwów i uleczył lud z przesądu, że lew to istota niezwykła i z wielu innych zababonów.

Tym dzielnym misjonarzem był Livingstone, odważny podróżnik i misjonarz angielski, który zwiedził prawie całą Afrykę. Brzegiem rzeki Zuga dotarł do jeziora Ngami, i niezвідzone dotychczas kraje Maholodo, czyniąc ważne odkrycia i szerząc światło wiary wśród dzikich pogan.

Przykład ten jasno wskazuje, że nigdy nie należy sądzić z powierzchowności.

Biedne dzieci

Silny był mróz i posępna pora zimowa, kiedy pewnego poranka jakiś Arab zatrzymał swój wóz przed szpitalem św. Elżbiety. Pięć biednych dziewczyniek drżących od zimna i bojaźliwych było skulonych w krytym koszu. Starsza poczęła spoglądać zrazu ciekawie i lekliwie na czarny posąg Bogarodzicy, umieszczony u wejścia naszego domu. Potem schowała się znowu na wozie, okryła sobie głowę i nie chciała stanowczo zjeść. Za pomocą dobroci i prośb, przełożona i siostry, które jej towarzyszyły, zdołały wreszcie skłonić małą, że pokazała swoje oblicze szczupłe i wynędzniałe i oczy czerwone od łez. Siostry przeniosły ją do pokoju, położyły do łóżka, gdzie też wkrótce zasnęła z powodu zmęczenia i obawy.

Wypoczynek fizyczny i przyjemne ciepło ogrzanego pokoju podziałały dodatnio na stan moralny dziecka; po przebudzeniu się, okazała się więcej ufna. Zobaczywszy macierzyński uśmiech siostry pielęgniarki, odważyła się jej powiedzieć: „Mnie się chce jeść”. Uczyniono zadość życzeniu małej... Kilka tygodni później odesłano ją wraz z jej towarzyszkami do sierocińca św. Karola. Tutaj opowiedziała historję swego smutnego życia w następujących słowach:

„Nazywam się Aschura, nie mam już ani ojca, ani matki; oboje umarli z głodu. Miałam dwóch braci; brat starszy odemnie pracował u bogatych Arabów. Spać przychodził do domu i codzień przynosił nam trochę jęczmienia, abym tylko ja wraz z młodszym bratem miała coś niecoś do jedzenia. Lecz wkrótce zabrakło pracy dla brata, a dla nas jęczmienia. Nastąpił taki zły czas, że nawet zamożni stawali się biednymi!... Wszyscy w domu zachorowali z powodu głodu i febry. Poczęliśmy jeść trawę, lecz i trawa wkrótce znikła. Na polach widziano tylko ziemię i kamienie, a okoliczni Arabowie umierali tak, jak umarli mój ojciec i matka. Wiele dni tak upłynęło... Ja byłam tak słaba, że całe dnie leżałam w łóżku. Pewnego dnia starszy brat oznajmił mi, że pójdzę do wojska, a mnie odda do białych, którzy mi dadzą jeść. Potem on odjechał, zabierając ze sobą młodszego brata. Ja poczęłam rzewnie płakać, gdyż czułam się tak chorą, że myślałam, iż już nigdy o własnych siłach nie dojdę do miasta białych, zresztą nie wiedziałam o żadnej drodze...

Lecz nie chciałam jeszcze umierać. Sama puściłam się w drogę, mimo silnego bólu głowy, zmęczenia i głodu. Gdy weszłam na obszerną dro-

gę, ujrzałam kilka drzew, z których zerwałam kilka liści i zjadłam je. Pewien przechodzień wskazał mi drogę, lecz moje biedne nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Trzykrotnie noc przerywała mi podróż, a ja byłam zupełnie samotna. Ach! jakże się mocno bałam, jakże pragnęłam, aby zawsze był dzień!... Lecz tem się zawsze pocieszałam, aby dojść do białych i w ten sposób być ocaloną... Wreszcie ujrzałam pierwsze domy miasta. Lecz tak już byłam osłabiona, że już dalej nie mogłam wlec się i upadłam u stóp kaplicy...

Co się później działo, tego ja nie wiem. Wieczorem, kiedy zadźwięczał dzwon kościelny, obudził mnie jakiś szmer, którego jeszcze nigdy nie słyszałam. Próbowałam iść dalej, lecz nie mogłam już się podnieść i byłam jakby martwą ze zmęczenia. Pewien kapłan czarny z obliczem smętnem i dobrem, ujrzał mnie. On wziął mnie w swe dłonie i zapytał łagodnie: „Jesteś ty chora? Tak. Skąd przychodzisz? Z Ain-Tefla. Gdzie mieszka twój ojciec i twoja matka? Umarli z głodu”. Dobry Ojciec spisał wszystko, co mu powiedziałam. Następnie zaprowadził mnie do domu, w którym znajdowały się już cztery dziewczynki, przybyłe z okolicy nawiedzanej klęską głodową; ojciec dał nam jeść i pić i kazał nam położyć się do łóżka. Nazajutrz mieliśmy febrę i drżeliśmy na całym ciele. Pewien Arab całkiem biały przybył i przetłumaczył nam po arabsku, co mu Ojciec powiedział. On nam powiedział, że Ojciec rozkazał mu nas odwiedzić wozem do szpitala. Tam znajdują się dobre Siostry, które będą się o nas troszczyły i będą naszymi matkami. Siostry dadzą nam jeść i będą czuwały w nocy nad nami, abyśmy się nie obawiali”. Gdy nasz wóz zatrzymał się przed szpitalem i ja ujrzałam czarny posąg Najświętszej Panny afrykańskiej, zlekęłam się, gdyż myślałam, że ta czarna Pani przysłała wziąć nas do siebie, aby nam nami czuwać. Lecz teraz już znam i kocham Najświętszą Dziewicę, jak znam i kocham dobre Siostry białe.

Takie było opowiadanie biednej i małej sierotki.

Karty

Oto, co pisze stara kronika irlandzka:

Z początkiem XVIII wieku młody żołnierz udał się wraz z kompanią do kościoła dla wysłuchania Mszy św. i wyszukał sobie miejsce ustronne.

Siadł na ziemi, wyjął z kieszeni talję kart (t. j. całą grę), rozłożył przed sobą i złożywszy ręce jak do modlitwy, patrzył w karty ze skupieniem pobożnego chrześcijanina.

Gdy wyszedł z kościoła, sierżant kazał mu iść za sobą do kapitana.

— Wytłumacz się z niestosownego dzisiejszego zachowania się w kościele, rozkazał kapitan.

Całkiem spokojnie młody żołnierz odpowiedział:

— Jestem biedny i nie mogę sobie kupić książki do nabożeństwa, a jestem też skłonny do roztargnień i potrzebuję przedmiotu, któryby utrzymał moje myśli w skupieniu.

— Więc znalazłeś w kartach temat do modlitwy? Jakże to jest możliwe?

— Znalazłem dużo tematów. As przypomina mi, że jest jeden Bóg, który świat stworzył z niczego. Dwójka — Zwiastowanie Najśw. Paniency przez archanioła Gabryjela. Trójka — tajemnicę Trójcy Przenajświętszej. Czwórka — czterech Ewangelistów, piątka — przypowieść o pięciu pannach mądrych i tyłuż głupich. Szóstka przypomina mi sześć dni stworzenia, a siódemka odpoczynek Stworzyciela. Ósemka mówi mi, że już w ósmym dniu życia zaczął P. Jezus cierpieć, gdy się poddał obrzezaniu, dziewiątka — że na dzieśięciu trędowatych, których Pan uzdrowił, dzieśięciu było niewdzięcznych. Dziesiątka przypomina dzieśięć przykazań Boskich.

Wyliczywszy tak znaczenie niższych kart, żołnierz dalej przeglądał karty i odkładając na bok pacholka, powiedział:

— To jest niegodziwiec. Ale dama, to królowa nieba i ziemi, N. P. Marja, a królem jest Pan Bóg, którego mam uwielbiać wszędzie i w każdej chwili życia.

— Dobrześ wymyślił — rzekł kapitan — ale jeszcze chciałbym wiedzieć, czemu pacholek ma być nieponiem?

Żołnierz nie odpowiedział.

— A może to ma być sierżant, który cię przeprowadził do mnie? — Milczenie.

— Słuchaj, rzekł kapitan łaskawie, módl się z kart, kiedy umiesz. Przebacź jednak swemu winowajcy. Pacholek niech ci przypomina diabła; nie słuchaj jego podszeptów, jeżeli chcesz pozostać dobrym chrześcijaninem.

Krwawe lzy

Otarła fartuchem lzy z oczu, wstała z klęczek i chwiejnym krokiem pospieszyła do kołyski gdzie przed chwilą dziecko zakwiliło, jako ter ptaśzek w gniazdku...

Biedactwo półroczne leżało na łóżku, suche jak ta trawka polna, przeźroczyste jak gąbka. Od wczoraj nic w ustach nie miało, ni chleba o kruszyny, ni kropli mleka.

Bieda i nędza wyciągała swe szpony z każdego kątka niskiej chałupiny, a przez okna wywierała z kosą na ramieniu ich siostra — śmierć.

Ostatni grosz już dawno wydany, zarobić nie było komu, ojciec codziennie pijany wracał późno w nocy do domu, nieraz i wcale nie przychodził. Na błaganie żony, głuchy był, a kiedy mu wskazywała na maleństwo biedne, uciekał z domu, jakby to nie jego dziecko było.

Jak jej się innem przed laty życie wydało, kiedy się stroiła w wianek mirtowy do ślubu, kiedy stanęła po ślubie obok swego wybranego, młodego, pięknego młodzieńca. Mówili jej wprawdzie, że pijak, że hula po nocach, do pracy leniwy, nie wierzyła, nie chciała wiedzieć, nie chciała słyszeć. — A choćby tak było — pocóż jej miłość tak wielka, czyż zdola się tej miłości co oprzeć — nawrócić go, ugłaskać, lepszym uczyni.

Z początku nie zle było. Ale od czasu jak się sprzął z Wickiem Szypulów, zaczął zaniedbywać się w pracy, wieczory spędzał poza domem, w karczmie przy kieliszku i kartach. Nie dbał o żonę, o dzieci.

Na nic się mitość zdała, piękne słówka, prośby i łzy, stał niewzruszony, czasami porywał się jak rozjuszony zwierz, bił, kopał nogami, wyrzucał przekleństwa, tak że wołała ścierpieć i nie nie mówić.

Przed miesiącem pochowała Marysię i Zochnę. Obie padły ofiarą suchót, wynędzniałe, do szkieletu podobne. Został Wojtuś najmłodszy, ostatnia pociecha — styszy jego kwilenie, ale czem go uspokoi.

Pochyliła się matka nad kotyską dziecięcia, a ono wyprężyło ku niej skostniałą rączkę i skrzywiło usteczka, jakby zawołać chciało: Mamo, daj mleka!...

Kiedy jej mleko w piersiach wyschło.

Mamo, daj chleba!

A chleba w domu nie było...

Po wychudłej twarzy matczynej zbiegły łzy duże, bolesne, krwawe...

Przed kilkoma dniami sprzedała ostatnią poduszkę za garniec ziemniaków. Został tylko wiszący na ścianie Zbawiciel rozpięty na krzyżu. Tego się nie wyzbedzie za wszelką cenę, to pamiątka rodzinna.

Tym krzyżem pobłogosławiła ją matka w dzień ślubu.

Ucałowała płaczące dziecko w główkę, a główka gorzała, by ogniem.

Nawet wody w domu nie było, bo źródło dało, a sił i rąk zdrowych do pracy nie było.

Nagle dziecko rzuciło się w kołysce, wyprężyło i tak zostało... Małe zapadnięte oczka zaszyły bielmem śmierci.

Gdzież ojciec?

Szary zmrok wkraść się do chaty

Przez wybite szyby wdzierał się wicher, zawodząc z cicha żalosną pieśń pożegnania...

W tem jakieś kroki głucho dają się słyszeć, kroki całej gromady ludzi, którzy coś ciężkiego postawili przed drzwiami i dobijają się do sieni. Wyszła, otworzyła.

Cóż to? Jakaś biała chusta z krwawymi plamami. Z drżącym sercem zbliżyła się do mar, odchyliła.

Jej mąż z rozbitą czaszką, z krwawymi łzami.

Wniesiono trupa do izby.

Drżącymi rękami, prawie nieprzytomna, postawiła płonącą świecę u mar, a drugą u główki kochanego dziecięcia i spostrzegła w oczach jego łwie łzy świecące, łzy gorzkie i krwawe.

„Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie“ a potem poszła, uklekła przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i w wielkiej boleści poczęła całować skrwawione nogi Jego.

A słodki Zbawiciel zniżył ramiona Swoje, położył na głowie nieszczęśliwej matki i uronił duże serdeczne krwawe łzy.

A tam za górką wschodził księżyc blady, oświetlając stare cmentarzysko i świeże groby Marylki i Zochny.

Pogrzeb chrześcijański

Z domu żałoby do kościoła.

Katolicki dom Boży jest obrazem Kościoła i wyobrażeniem niebieskiego Jeruzalem, nadprzyrodzonej ojczyzny chrześcijanina. W domu Bożym przez chrzest święty rozpoczęło się jego życie łaski, w nim również przez Najśw. Ofiarę Eucharystji otrzyma dusza chrześcijanina moc do swego wstępu w niebiosy. Na poświęconej ziemi, należącej do domu Bożego będzie złożone ciało, ażeby tam oczekiwać chwalebnego zmartwychwstania.

Kapłan więc udaje się do domu żałoby, ażeby, w imieniu Kościoła przeprowadzić zwłoki zmarłego chrześcijanina do właściwego rodzinnego mieszkania. Modlitwy, zwłaszcza psalmy, które się śpiewa lub odmawia podczas żałobnego obrzędu, zawierają akty wiary w życie przyszłe i błaganie o miłosierdzie Boskie nad duszą.

Sam obrzęd wyprowadzenia zwłok z domu i wprowadzenia do kościoła jest następujący: Kapłan ubrany w komżę i stulę koloru czarnego pokrapia ciało wodą święconą i śpiewa lub odmawia psalm 129: De profundis clamavi ad te, Domine — „Z głębokości wołałem do Ciebie, Panie...“ Potem przy śpiewie psalmu 50: Miserere mei Deus — „Zmiłuj się nade mną Boże...“ orszak pogrzebowy wychodzi do kościoła. W większych miastach jest zwyczaj, zwłaszcza przy pogrzebach odprowadzanych w porze popołudniowej, że zwłoki zmarłego przeprowadza się z domu prosto na cmentarz, a nabożeństwo za duszę zmarłego odbywa się dopiero następnego dnia w kościele. Po przyjeździe orszaku pogrzebowego do kościoła ustawia się trumnę ze zwłokami w nawie głównej na katafalku, który otacza się płonącymi świecami, poczem śpiewa się oficjum żałobne, czyli t. zw. wigilje. Następnie odbywa się msza żałobna, ponieważ dzięki ofierze Chrystusa dusza staje się uczestniczką odkupienia i chwale niebieskiej. Już w pierwszych czasach chrześcijańskich odprawiano za zmarłych msze św.; miały one jednak wówczas charakter radosny i były odprawiane w kolorze czerwonym. Pierwsi chrześcijanie chwalili śmierć jako chwilę wesela i dziękowali Bogu za łaski dane zmarłemu, oraz błagali w dzień pogrzebu o szczęśliwą śmierć dla siebie.

I dziś także pomimo czarnego koloru i smutnych melodyj przebiega się w obrzędach mszy żałobnych wysoka i pełna słodkiej nadziei myśl Kościoła o śmierci.

Żałobny charakter pogrzebu na pierwszy plan wysunęły wieki średnie, kiedy w społeczeństwach chrześcijańskich ożywił się duch pokuty i dążenie do oczyszczenia życia i wybujałej chęci używania. Wówczas to podkreślać zaczęto coraz silniej niepewny wynik sądu Bożego po śmierci, czego wyrazem jest do głębi duszy wstrząsająca sekwencja: Dies irae, dies illa — „Dzień on, dzień gniewu Pańskiego“...